



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

A 1,012,821

891.858
S482 ka



Serafinowicz, Szeszela Józef

JAN LECHOŃ

KARMAZYNOWY POEMAT

**WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
VARSZAWA MCMXX KRAKÓW**
*Wkład Tow. Wydawniczego w Warszawie
fazowiecka 12, Rynek Starego Miasta 11, Marszałkowska 143.*

891.858

S482-ka

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

HEROSTRATES.

Slavic
Pawłowski
S 28.54
87159

Czyli to będzie w Sofji, czy też w Waszyngtonie,
Od egipskich piramid do śniegów Tobolska,
Na tysiączne się wiorsty rozsiadła nam Polska,
Papuga wszystkich ludów — w cierniowej koronie.

Kaleka, jak beznodzy żołnierze szpitalni,
Co będą ze łąą wieczną chodzili po świecie.
Taka wyszła nam Polska z urzędu w powiecie
I taka się powlokła do robót — w kopalni.

Dziewczyna, na matczyne nieporna przestrogi,
Nieprawny dóbr sukcesor, oranych przez dzieci,
Robaczek świętojański, co w nocy zaświeci,
Wspomnieniem dawnych bogactw żyjący ubogi.

A dzisiaj mi się w zimnym powiewie jesieni,
W szeleście rdzawych liści, lecących z kasztanów,
Wydała kościotrupem z pod wszystkich kurhanów,
Co czeka trwożny chwili, gdy ciało odmieni.

O! zwalcież mi Łazienki królewskie w Warszawie,
Bezduzne, zimnym rylcem drapane marmury,
Pokruszcie na kawałki gipsowe figury,
A Ceres kłosonością utopcie mi w stawie.

Czy widzisz te kolumny na wyspie w teatrze,
Co widok mi zamknęły daleki naścieżaj?
Ja tobie rozkazuję! W te słupy uderzaj
I bij w nie, aż rozkruszysz, aż ślad się ich zatrze.

Jeżeli gdzieś, na Starem pokaże się Mieście,
I utkwi w was Kiliński swe oczy zielone,
Zabijcie go! — A trupa zawleczcie na stronę
I tylko wieść mi o tem radosną przynieście.

Ja nie chcę nic innego, niech jeno mi płacze
Jesiennych wiatrów gędźba w półnagich badylach,
A latem niech się słońce przegląda w motylach,
A wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę, zobacze.

Bo w nocy spać nie mogę i we dnie się trudzę
Myślami, co mi w sercu wzrastają zwątpieniem,
I chciałbym raz zobaczyć, gdy przeszłość wyżeniem,
Czy wszystko w pył rozkruszę, czy... Polskę obudzę.

DUCH NA SEANSIE.

Oto firanka u okna się słania.
Komety wlokąc za sobą liljowe,
On idzie. Księżyc z nad czoła odgania,
Co seledynem oblewa mu głowę,
Nieme z ust naszych biorący pytania,
Wieczystych tęsknot podźwięki echowe —
Na płaszczu jego gwiazd srebrnych tysiące,
Przystanął. Z płaszcza otrząsa je drżące —

Znieruchomieliśmy wtenczas słuchacze
Mów pięknobrzmiących i dysput wygodnych,
Bo się nam zdało, że oto już płacze
Harfa, co węzów usypia głód głodnych,
Że oto trąbią na trąbach trębacze,
Szwedów gotowi gnać z Rusi precz — szkodnych.
Woń się fijołków rozlała po sali —
On stał. A myśmy na Słowo czekali.

Spirytystyczne pogasły wnet krzyże,
I sznur rąk opadł z stolika bezradnie.
Łowimy uchem, jak serce nam niże
Na bicz koralu krwawiący, jak zdradnie
Wszystkie zamilkłe porusza w nas spiże
I ból prawdziwy niemocy w nie kładnie,

Jak się w nas samych z nas samych zaśmiewa,
Tłukąc nam w serce, — poezji ulewa.

Więceśmy w pierwszej tej chwili myśleli,
Że widmo pragnie obudzić w nas — siebie,
Że on nam wstąpi do duszy — Anhelli,
Płaczący, milcząc, na matki pogrzebie,
Że ból na tysiąc nas w Polsce rozdzieli,
Duchem rosnących w Ojczyzny potrzebie,
I z naszych wątpień nam ołtarz postawi,
Przez klucz strzeżony swych — z wierszy — zórawi.

I tak poczęło w nas Męką coś gadać,
Ofiarną chustą z Chrystusa odbiciem,
Gdy z jego płaszcza jął tysiąc gwiazd spadać,
W doniczkach kwiatów rodzący się życiem.
Kłosa porosły, z ziarn których chleb zjadać
Będziem, a które nawożą się — gniciem,
I Balladyny z nich malin rósł dzbanek,
Które ma żywy zjeść wieczór — kochanek.

Drzwi biblioteki żelazem okute
Pchnął cicho, wchodząc do ciemnej izdebki,
I książki począł przerzucać: zatrute
I te, od których szedł w naród duch krzepki,
I te żołnierskie, pisane na nutę
Bojowej w polu Moskala zaczepki,
I wszystkie książki przepalał rękami,
Uśmiechem strojny — stojący przed nami.

Oto nad szablą zawisnął na ścianie
Xięcia Józefa konterfekt szcerniały —

niemu idzie! Ma w oczach kochanie,
Żar niewygasły pochodni — zapaly,
I kiedy w gardle się zrywa nam łkanie
Żołnierskich pieśni — drze portret w kawały
I w onych pieśni przepada nam jęku,
Czującym pęki kwitnących ziół w rękę.

Patrzajcie! Patrzcie! Skroś okno odpływa,
Na rydwan siada ciągniony przez pawie,
Aloes koła mu wozu okrywa,
Drogę sznurami wskazują żórawie,
Firmament nocą na niebie przerywa
Biczem, świecącym w gwiazd srebrnej siklawie —
Jedzie gdzieś, myśli płomieniem objęty,
Ten, co chciał z czynu na ziemi być święty.

Którzyśmy Słowa czekali stęsknieni,
Kłosa widzimy ubogie a żytnie,
Z lamp rozświetlonych w pokoju promieni,
Jak słońce jasne, pszeniczny dzień kwitnie.
Z łąk Horsztyńskiego kosiarze strudzeni
Idą ze śpiewką radośnie a bitnie.

Xięcia Józefa konterfekt szerniały
Na ziemi leży podarty w kawały.

JACEK MALCZEWSKI.

Srebrzyste mają skrzydła, kapane w zórz tęczach,
Nabrzmiałe mlekiem piersi i jurną pogodą,
W południa ciche letnie po łąkach tan wiodą,
Wirując lekko, sennie w ogromnych obręczach.
Przychodzą do mnie latem przez okna otwarte,
Popsutych koła młynów ruszają z chichotem,
Muskają twarz mi skrzydłem i włosów swych złotem,
Z żołnierzy szyszcząc moich stawianych na wartę.
Parobków przewalają leniwych po łąkach,
Spętane kare konie roznoszą pastwiskiem,
Do dziewczuch — starych faunów rozśmieją się pyskiem,
Umilkną, zasłuchane w podniebnych skowronkach.
Skoszonym pachną sianem, kwiatami i miętą,
W czuprynach mają brudnych okruchy ze słomy,
Gdzie mogą, wszystko kradną -- i rzadkie są domy,
Jak dom mój niegościnnie — strojone na święto.



Jak moja skąpa chata, gdzie w kątach się smuci
Swoj brud i swoja podłość, a ściany powleka
Grzech wielki malowany narodu, i czeka
Dom pusty gospodarza, co kiedyś powróci.
W żołnierskim przyjdzie palcie, podszytym zgnilizną,
Przez oczy patrząc ślepe, promienne tęsknica.

Da wiatrom siwą brodę — a wiatry ją chwycą,
W jej każdy włos się siwy wgryzając Ojczyznę.
Nie będziesz do mej chaty wstępował, Derwidzie,
Jak pielgrzym, dziad ubogi, co przyszedł do źródła,
Złocistą lamą ściany obję w pokoju
I nawet psom z łańcucha dziś powiem: „Król idzie!”
Zamknąłem wszystkie okna, przez które się wkrada
Srebrzyste skrzydło jurnej dziewczuchy o świcie,
Cykanie szarych świerszczów, ukrytych gdzieś w życie,
I faun obrosły, głupi, co bajki mi gada.
Zielone zgonię żuki, drzemiące na różach,
Motyle porozganiam i ptaki wypłoszę;
Niech cicho będzie u mnie. Tę ciszę przynoszę,
Mój ból, chorobę w polskich nabytą podróżyach,
Mój pierwszy dzień — mą wiosnę, gdy z traw się podnosi
Niepokój letnich skwarów od ziemi gorącej,
Mój drugi dzień — me lato, mój zegar bijący,
Mój trzeci dzień — mą jesień, co zeschył łąn kosi,
Mój czwarty dzień — mą zimę, gdy wszystko minione
Swym szklistym patrzy wzrokiem i mówi ci zdradnie:
„Błogosław życie swoje z oddali, co kradnie
Nadzieje młode wiosny, jesienią skoszone!”
Prastare wyjmę miody, zostały po tryźnie,
Chowane po piwnicach na Twoje tu przyjście.

Hej słysze! Już w ogrodzie otrąca wiatr liście,
I Derwid idzie ślepy, wrócony Ojczyźnie.
Po drodze tupią fauny, trzaskają z kopyta,
Taraszą miękką trawę i gościa w dom wiodą.
Derwidzie! Hej! Derwidzie! Złe czeka nad wodą,

**Bezmyślna, jurna dziewczka bezwstydnie odkryta.
Tęczami sennych skrzydeł po czole go muska,
Do ust mu lepkie wargi przykłada czerwone.
Hej! młyny! idą młyny — i woda w nich pluska.**

— — — — —

Na dzień dla żywych, dla mnie — na wszystko skończone.

SEJM.

Gdy do sali wszedł sejmowej z wielkim animuszem,
Gwałt uczynił pan Zagłoba białym swym kontuszem.
Za pas słucki rękę włożył, srebrną ma deliję,
Drzwi otwarły się z hałasem: „Łuna! Łuna bije!”
Powciskani w ław szeregi zerwą się posłowie
I spojrzeli na się wzajem, w krzyżach czując mrowie,
Gdy tymczasem On, wylotów odrzucając, stąpa,
Aż zadrżała, zaskrzypiała polska chata skąpa.
Poszedł cichy szmer po frakach, poszedł po żakietach,
Rozglądają się biskupi strojni w fioletach,
Elektryczność w żyrandolach zaświeciła jasno,
Pan Zagłoba, niby w tańcu, drogą idzie własną.
Pomarańcze po doniczkach poruszyły liście
Przed tym słońcem nadchodzącem, skrzącem się srebrzyście,
Oniemieli dziennikarze w swej prasowej łoży;
Nikt nie wiedział, że On przyjdzie i że kontusz włoży.
Rusza warta wojsk, mająca straż przy majestacie,
Bo się boją, że On zechce zabrać głos w debacie,
Że coś powie, co obrazi sal sejmowych ściany;
Ustępują z drogi wszyscy: myślą, że pijany.
Upił-że się, upił miodem, upił miodnem złotem,
Całą wychlał dziś piwnicę, spał przez chwilę potem.
Rankiem szatnych kazał wołać, w tabakierkę trzasnął,
„Na sejm jadę, na królewski! kontusz dajcie!” wrzasnął.

Czeka czwórka zaprzęzona przed bielonym dworem,
Dwór przezegnał pan Zagłoba zacnych ojców wzorem,
Bat zaświstał, kurz się podniósł, zaskrzypiały koła:
Czwórka pędzi, wicher gędzi, śmieją mu się sioła.
Zasepionych zastał w sali, zagadanych górnice,
Wieńce kokot na galerjach, posłów na koturnie,
Budżetowej gwar dyskusji, szelest enuncjacji.
„Racja“ izba zawołała. „Niema“ krzyknął „racji,
Potracili głowy wszyscy, veto słysząc w sali,
Jeszcze jeden krok postąpił: wprost do tronu wali.
Pobiegały posłom wargi, poszedł chrzest po straży,
Zerwał król się na swym tronie, twarz mu ogień żarzy.
Wziął pod ramię go Zagłoba, dał tabaki niucha
I coś szeptem, mruga okiem — cały sejm go słuha.

Co to? co to? Śmiech zatrzęsnał miłościwym panem;
Coś powiedział kanclerzowi z licem roześmianem,
Coś powiedział senatowi kanclerz jak w sekrecie,
Gruchnął gromem śmiech biskupów strojnych w fijoecie.
Usłyszeli go posłowie. Stanów zniknął przedział,
Śmiechem jurnym się zbratali nad tem co powiedział:
Staropolską zwykłą fraszką, sprośnym tłustym witzem,
Powiedzianym roześmianem i pijanem licem.
Tynk obleciał na suficie: śmiech o szyby bije,
Z ław się zerwał sejm i krzyknął: „Polska niechaj żyje!“

Aż za oknem podskoczyły u pojazdów koła,
I coś pędzi i coś gędzi, w głos się śmieją sioła.

POLONEZ ARTYLERYJSKI.

— To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali.

Siew pada w ziemię szrapnelami,
I dym i grom i burza z nami,
Piekielny deszcz ze stali.

Na firmamencie chmury chmurzą
Brunatne z armat dymy.
Raz po raz ziemia jęknie burzą,
Ślepią się dziko armat mrużą,
Przy których my stoimy.

Od ognia czarni, dymem syci
I wiecznie czuwający.
Armaty — grom i ból i wici,
Baterja ryknie w głos, gdy chwyci
Wasz szept zmartwychwstający.

Miarowo dudni, zcicha, zcicha,
Bez przerwy, bez ustania!
Na miły Bóg! — Czy ziemia wzdycha?

To artylerja nasza licha
Dziś puka od świtania...

To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali.

Czy przeciw nam wy, czy też z nami?

Gadamy do was kartaczami;

Nie dusi dym i krew nie plami,

I jeno ogień pali.

Za nami będą mówić ciszą

I łzami i modlitwą...

Armatom ognia! Niechaj dyszą!

Hej! Ognia! Ognia! Słyszają, słyszają,

Że w bitwie idziem bitwą.

Konnicy koniem, zbrojną ręką

Po swoje iść piechocie.

Jaką grał Bem pod Ostrołęką,

Taką nam zagrać dziś piosenką

I w pułk moskiewski rozwinięty

Chrzest słać, piekielny chrzest i święty

Kapłanom przy robocie.

Dudni nam ziemia, dudni, dudni,

Radujcie się, majorze!

Tako się Polska nam roz cudni,

Gdy skwarny przyjdzie czas południ

Na nasze krwawe zboże.

Słyszycie! Zcicha, zcicha, zcicha,

Warkotem, bez ustania...

Na miły Bóg!! — Czy ziemia wzdycha?

Pułk się za pułkiem w śmierć przepycha.

To artylerja nasza licha
Dziś puka od świtania,
Ani się pyta kto dziś z nami
Baterja wściekłej stali —

To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali.

MOCHNACKI.

Mochnacki jak trup blady siadł przy klawikordzie
I zwolna ją próbować akord po akordzie.
Już ściany pełnej sali w żółtym toną blasku,
A tam w kącie kirasjer w wyłączanym kasku,
A tu bliżej woń perfum, dam strojonych sznury,
A wyżej, na galerji — milcz serce — mundury!
Tylko jeden krok mały od sali go dzieli,
Krok jeden przez wgłębienie dla miejskiej kapeli, —
On wie, że okop hardy w tej przepaści rośnie,
Więc skrył się za okopem i zagra o wiosnie.

Rozpędził blade palce świergotem w wiolinie,
I mały smutny strumień z pod ręki mu płynie.
Raz wraz rosa po białej pryska klawiaturze,
I raz po raz w wiolinie kwitną polne róże.
Rosną. Większe, smutniejsze, pełniejsze czerwienią,
Coraz niżej i niżej, uschną, w bas się zmieniają!
Nie. Równo, równo rosną w jakiś smutny taniec,
Rozdrغانą klawiaturę przebłagał wygnaniec,
I nagle się rozplakał po klawiszach sztajer,
Aż poszedł szmer po sali, sali Biedermayer.

Głupio, sennie, bezmyślnie kręci się i kręci,
Jakieś myśli chce straszne wyrzucić z pamięci,
Do piersi jakąś białą przytulił pierś drżąca
I czuje tuż przy piersi nieznosne gorąco,

I tysiąc świateł w oczach, w czyjejs twarży dołki,
I zapach... białej sukni, ubranej w fijołki.

Nagle złoty kirasjer poruszył się w kącie.
Sto myśli jak kanonjer stanęło przy loncie,
Stu spojrzeń obcej sali przeszły go miecze,
Wstyd idzie ku estradzie — czuje, jak go piecze.
Więc do basu ucieka i tępo weń tłucze.
Po tym tańcu szalonym niech ręce przepłucze,
Z tych czerwonych, duszących róż otrząsa płatki,
Rozsypuje po sali w tysiączne zagadki,
W sto znaków zapytania, sto szmerów niechęci.
Nie pyta. Już jest w basie. Już tam się wyświęci.
Raz, dwa, trzy, cztery — wali. Niechaj mu otworzą,
Niechaj wyjdą z chorągwią, wyjdą z Matką Bożą,
Niech mu końskie kopyta przelecą po twarży,
I niechaj go postawią gdziekolwiek na straży:
Na ulicy stać będzie z karabinem w dłoni...

...Słyszy sala: ktoś idzie, ostrogami dzwoni — —

Ostrogą spiał melodję, a akompanjament
Szaleje, krzyczy w basie, rośnie w straszny zamęt —
Ku sali bagnetami już mierzy, już blisko —
I ton jeden uparcie wybija — nazwisko!!!
Wciąż czyste, w rozszalałe wplątuje się głosy
I wali, wali w basie murem Saragossy,
Oszalałych Hiszpanów wyciem, darciem, jękiem,
I znów wraca ku górze załzawionym dźwiękiem —
W mazurze — nie — w mazurku idą wszystkie pary,
By całą klawiaturę owinąć w sztandary.

Zatrzymali się wszyscy w srebrzystych kontuszach,
A klawikord im ducha rozplówienia w duszach,
I wzdłuż długich szeregów przewija pas lity,
Tysiąc głów podgolonych podnosi w błękity,
I wszystkie karabele jedną ujął dłonią,
I uderzył w instrument tą piekielną bronią,
Aż struna się ugięła, ta w górze, płacziwa,
I cisza jest w wiolinie. Cisza przeraźliwa.

Po martwej, głupiej strunie, po fijołków woni,
Po czyichś smutnych oczach, jakiejs białej dłoni,
Jgkichś światłach po nocy i szeptach w komorze,
Po księżycu, po gwiazdach! Mój Boże! Mój Boże!
Gdzieś się gubi i zwija, przeciera pas lity,
Po księżycu, po gwiazdach, po Rzeczpospolitej.
Po sali idzie cisza przeraźliwa, blada,
I obok tęgich boszów w pierwszym rzędzie siada.
Wzrok wlepia martwy, ślepy w jakiś punkt na ścianie
I patrzy w Mochnackiego, kiedy grać przestanie.

A on, blady jak ściana, płacze, zrywa tony
I kolor z pod klawiszy wypruwa — czerwony,
Aż wreszcie wstał i z hukiem rzucił czarne wieko
I spojrział — taką straszną, otwartą powieką.
Aż spazm ryknął, strach podły, i z miejsc się porwali:

„Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!!”

(W r. 1832 Maurycy Mochnacki koncertował w Metz).

PIŁSUDSKI.

Czarna Rachel w czerwonym idzie szalu drżąca
I gałęzie choiny potrąca idąca —
Nikogo nie chce budzić swej sukni szelestem,
I idzie wprzód jak senna, z rąk tragicznym gestem,
I wzrokiem, błędnym wzrokiem gasi mgieł welony,
I świt się robi naraz. I staje złękniiony.
Poblądłe Robespierre cisi, smutni, czarni,
Wychodząc, z hukiem drzwiami trzasnęli kawiarni.
Na rogach ulic piszą straszną ręką krwawą,
Uśmiechają się dziwnie i giną na prawo,
Tylko słyhać nóg tupot na ulicy pustej
I szept cichy. Trup jakiś z zbielełemi usty.

I gdzieś kończy muzyka jakiś bal spóźniony.
Pod lila abazurem mrugają lampiony.
Białych sukni w nieładzie senność, ciepło, zmiętość,
I piersi, krągłych piersi obnażona świętość,
I mazur, biały mazur w ogłupiałej sali:
Dziś! dziś! dziś! Wieś zaciszna i sznury koralu.
Roztańczyła się sala tęgim nóg tupotem,
Hołubce o podłogę walą, biją grzmotem,
Białe panny i panny niebieskie, różowe
Przelotnie a zalotnie przechylają głowę

I mówią czarnym frakom: „Przyjdźcie do nas jutro!”
I podają im usta za podane futro.

A kiedy świt różowy przez żaluzje wnika,
Dla siebie, nie dla gości, gra jeszcze muzyka.
Menuetem się cichym wiolonczela żali,
I białe margrabiny przychodzą z oddali.
Na liljowych oparach spływają bez słowa,
I pannier rozłożyła markiza liljowa.
Kawaler podszedł blady. Pani tańczyć każe!
I tańczą hafty, sprzączki, koronki, plumaże.

A w klarnet, flet i skrzypce, w ukłony margrabin
Czerwoną, rozwichrzoną wpada nutą Skriabin.
Drze ciszę dysonansem, wali w okiennice,
Muzykę wyprowadza przed dom, na ulicę,
Na place rozkrzyczane w potępieńcze ryki,
I rzuca w twarz akordom zgłodniałe okrzyki,
Na ziemię je obalił i kopie z rozpaczą:
Otworzyć wszystkie okua!! Niech ludzie zobaczą!!

Wielkimi ulicami morze głów urasta,
I czujesz, że rozpękną ulice się miasta,
Że Bogu się jak groźba położą przed tronem
I krzykną wielką ciszą... lub głosów miljonem.
A teraz tylko czasem kobieta zapłacze —

— — — — —
Aż nagle na katedrze zagrali trębacze!!

Marjackim zrazu cicho śpiewają kurantem,
A później, później bielą, później amarantem,

Później dzielą się bielą i krwią i szaleństwem,
Wyrzucają z trąb radość i miłość z przekleństwem,
I dławią się wzruszeniem i płakać nie mogą,
I nie chrypią, lecz sypią w tłum radosną trwogą,
A ranek, mroźny ranek sypie w oczy świtem,
A konie? Konie wałą o ziemię kopytem.
Konnica ma rabaty pełne galanterji.
Lansjery-bohatery! Czołem kawalerji!
Hej, kwiaty na armaty! Żołnierzom do dłoni!
Katedra oszalała! Ze wszystkich sił dzwoni.
Księża idą z katedry w czerwieni i złocie,
Białe kwiaty padają pod stopy piechocie,
Szeregi za szeregiem! Sztandary! Sztandary!

A On mówić nie może! Mundur na nim szary.

Pannie Helenie Sulimie.

